

Zrealizowanie zadań manifestu międzynarodowych finansistów godziłoby w gospodarczą niezależność Państwa Polskiego

Lewiatan przyłącza się do protestu

Przeciwno ukrytym tendencjom manifestu finansistów

Sławetny manifest „ludzi interesów” szeregu krajów Europy, a rzekomo i Ameryki, co wogóle okazało się nieprawdą, jak to widać z ogłoszonego przez amerykańskiego sekretarza stanu do spraw finansowych oświadczenia, wywołuje dalsze protesty ze wszystkich stron. Do zgodnego na ogół chóru głosów polskich, potępiających zamach „złotego cielca” na granice Polski i Jej niezależność gospodarczą, przyłączył się wczoraj

Centralny Związek Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu, i Finansów, znany pod popularną nazwą „Lewiatana”. W oświadczeniu swem „Lewiatan” stwierdza, że postulaty międzynarodowych finansistów mają charakter nie tyle gospodarczy, co polityczny i że zrealizowanie ich godziłoby w niezależność gospodarczą Polski. „Lewiatan” stwierdza też, że głoszone przez manifest hasło

wolnej wymiany ma charakter tendencyjny i ukrywa określone cele polityczne. Wreszcie „Lewiatan” śmiało stwierdza, że „ludzie interesów” chcą za pomocą kapitału panować nad światem, w czym przeszkadzają im „nowe granice”, które wobec tego muszą być zrewidowane. W ten sposób i „Lewiatan”, reprezentujący polski świat „ludzi interesów”, zdemaskował ukrytą treść sławetnego manifestu międzynarodowych finansistów.

Kompromitowanie Polski

Wędrowka po świecie w poszukiwaniu „Króla Polskiego”

Tajemnicze wyprawy. — Samozwańcza delegacja. — Sykstus Parmeński.

Nawet ks. Wied albański. — Czy będą szukali i w Ameryce? — Co piszą o nas w prasie amerykańskiej. — Potrzeba reakcji.

Już kilka razy w prasie zagranicznej ni stąd, ni zowąd pojawiały się jakieś nieuchwytnie wiadomości o poszukiwaniu króla dla Polski. To tu, to tam wystrzelały nie wiadomo skąd wiadomości, iż ten czy ów arystokrata lub pozbawiony tronu arystokrata odmawia przyjęcia kandydatury na tron polski.

Nie przypuszczaliśmy nigdy, by pogłoski o poszukiwaniu króla polskiego można było traktować serio. W kraju też nikt ich poważnie nie traktuje. Tymczasem wpadło nam właśnie wielkie pismo amerykańskie „New York Evening Graphic”, które opowiada niestworzone historie o jakichś delegacjach i poszukiwaniach władcy dla Polski, tak, że noszą one charakter wprost rewelacji. Rzecz ciekawa, iż podobne w pewnej mierze wersje rozpuściła już latem włoska „Tribuna”.

Posłuchajmy tych opowieści:

TAJEMNICZA DELEGACJA

„Więcej już niż rok — czytamy w owym dzienniku amerykańskim — specjalna delegacja polskiej partii monarchicznej jedździ w poszukiwaniu daremnym kandydata, któryby chciał objąć starożytny, polski tron. Na czele delegacji stoi pułk. Miklaszewski (?) o takim monarchście nie nam nie wiadomo. — Red. ABC).

Zwiedziła już ona z pół tuzina krajów Europy, tyłuż członkom krwi królewskiej ofiarowała tron i tyleż spotkała odmowy. Delegacja jednak nie daje za wygraną i posuwa się dalej.

Rok jakiś temu, monarchiczna partja zadecydowała, że czas już dojrzał, aby republikę przemienić w królestwo. Sześciu członków tej partji, każdy potomek dumnej rodziny arystokratów — podjęło zadanie wyjazdu zagranicę w celu znalezienia kandydata na polski tron.

KREwni CES. ZYTY.

Komitet ten rozpoczął drażliwą misję swą w Wiedniu. Najlepszym kandydatem wydawał się im Sykstus — książę Parmeński, bliski krewny zmarłego cesarza Austrii Karola. Pułk. Miklaszewski i jego towarzysze uzyskali audiencję i formalnie proponowali mu koronę. Książę Sykstus jednak, mimo wszelkie obietnice, odmówił.

O POMOC WATYKANU?

Komitet odjechał, ale nie zrezygnował z planów. Jeden z członków — książę Sapieha (coż to za Sapieha? — Rd. ABC) — udał się niezłownie do Rzymu i postarał się o audiencję u papieża Piusa. Wiadomą jest rzecz, że ks. Sapieha jest blisko zesłusunkowany (?) ze stolicą Apostolską, poszukiwacze króla zatem ułożyli plan, aby prosić Ojca św. o pośrednictwo do ks. Syxtusa, by przyjął ich propozycję. Papież jednak z miejsca odmówił.

Niezrażony niczem pułk. Miklaszewski i jego towarzysze zwrócili się wtedy do młodszego brata ks. Syxtusa — ks. Ksawerego, Młodego, bardzo ambitny książę wydawał się niemal pewnym, jako kandydat, tymczasem ku ich zdumieniu — odmówił.

— Panowie — niedawno zaproszono

nie na tron Albanii! Odmówilem też. Będę panom wdzięczny, jeżeli podacie decyzję moją do publicznej wiadomości!

U KS. WIEDA.

Misja delegacji polskiej nabierała rosnącego rozgłosu. Prasa europejska drukowała całe historie o niefortunnych poszukiwaniach króla dla Polski. Delegacja jechała dalej i przedstawiła się w Niemczech księciu Wiedowi, który panował przedtem w Albanii. Książę przyjął delegację w swej wiejskiej rezydencji, wydał dla niej wspólny obiad i był zachwycającym gospodarzem. Gdy jednak podjęto sprawę tronu, książę szybko zabrał głos i odmówił.

NIEUCHWYTNY KSIĄŻĘ.

Pozostał ks. Connaught. Czy jednak to było zbiegiem okoliczności, czy intencją może ukrytą, dość że na dzień przed przyjazdem delegacji do Londynu ks. Connaught wyjechał na kontynent i niepodobna było odkryć, gdzie się znajduje. Pozostawało jeszcze dwóch upatrzonych: ks. Mikołaj Rumuński, młodszy brat ks. Karola i ks. Krzysztof, ożeniony z amerykańką — co do którego delegacja miała najpewniejszą nadzieję. Nawiazano porozumienie pomiędzy polskimi i rumuńskimi sferami, oraz królową Marią — bardzo ambitną kobietą, która wprowadziła swe córki już na rozmaite trony w krajach Bałkańskich i nie byłaby obojętną widzieć syna na tronie polskim. Niestety jednak w tym czasie kiedy delegacja przybyła do Bukaresztu, stolicy Rumunii, opinia wzbudzona była abdykacją ks. Karola, królowa Maria pochłonięta sprawami najbliższymi, tak, że żadnych decydujących kroków, ani starań przeprowadzić nie było podobna.

„A B C” przeświecła drożynę

Jak ludzie różnych zawodów ją odczuwają?

Wesoła opinia na smutny temat

W. WALTER, znakomity aktor i „kawiarz nardowy”



„przeświecła drożynę”.

W wędrowce swej po przedstawicielach różnych fachów, „ABC” zwróciło się do znanego artysty p. Waltera z zapytaniem, co on i jego zawodowi koledzy myślą o drożynie.

— Jak odczuwamy drożynę? Przedewszystkiem w ten sposób,

że odzwyczajamy się od jedzenia. To jest zresztą dobra stroina drożyna.

Ale cały smutek aktorskiej doli leży nie tylko w drożynie, ale także w... krytyce teatralnej. Bo któż słyszał w taki sposób gnębić artystów i wszystkie sztuki wystawiane w naszych teatrach.

Artystów mamy napewno lepszych, niż np. Francja, ale pp. krytycy patrzą na nas przez odwróconą lornetkę, umniejszając nasze zasługi.

Mamy do czynienia z jakimiś wyolbrzymionymi wymaganiami, jesteśmy jak dzieci w szkołach, nie mogące podolać programowi ponad siły.

Mój teatr np. nie jest teatrem przeznaczonym dla poważnej sztuki, jest to teatr wesołości, ma dawać publiczności zdrowy śmiech.

I za to zwalczają okrutnie, że ma komików, a nie bohatera.

Jeżeli kogoś stale karmili pulardami, to w końcu szyby wybije w pogoni za wieprzowym kołosem.

Sztuka musi być przystosowana do wymagań publiczności, nie zaś sadowić się na wyżynach, dla nikogo niepotrzebnych.

Tak. Panowie krytycy chcą nas odzwyczaić od jedzenia.

Finansista amerykański w Polsce

Jak zapowiadano, p. Harding chce zapoznać się z naszymi stosunkami gospodarczymi Pracy

Dość!

Są to powieści tak fantastyczne, iż oczem wprost nie chce się wierzyć, że je kto drukuje.

Nie naszą też rzeczą dochodzić prawdziwości tych doniesień.

Albo jest naszym obowiązkiem zwrócić na fantastyczne te wersje uwagę i społeczeństwa.

Nasze placówki zagraniczne muszą sprawę wyjaśnić i uświadomić inne społeczeństwa, ile się w tych fantazjach mieści kłamstwa i zlej woli

swej nie ogranicza jedynie do zwyczajnych rozmów. Chce również bezpośrednio poznać kraj i dlatego niedługo wyjedzie z Warszawy na wycieczkę po Polsce. Zwiedzi zatem nasz przemysł włókienniczy w Łodzi, zapozna się z naszym górnictwem w Żagłębiu dąbrowskim i na Śląsku, zwiedzi żagłębie naftowe, obejrzy pokłady kałnitu w Kałuszu, wreszcie wyjedzie na Polesie, by się zorientować w naszym dobytku leśnym. Z Pińska uda się kanałem królewskim i Muchawcem do Puszczy Białowieskiej.

Widać z tego, iż p. Harding zabawi w Polsce około dwu tygodni.

BOLESŁAW ORLIŃSKI.

25)

Przedruk zastrzeżony.
Copyright by „ABC”. Warszawa.

Mój lot Warszawa-Tokio-Warszawa

W pewnej chwili w króciutkiej przerwie między chmurami, dostrzegłem na powierzchni morza wielką żaglową łódź rybacką. Na spienionych falach morza zmieniała co chwila swoje położenie widocznie walcząc ciężko z rozszalałym żywiołem. Takie spotkanie na morzu nie przedstawiało dla mnie żadnej realnej wartości. Dodało mi jednak otuchy, — wspólność niebezpieczeństwa łączyła nas niewidzialną nicią.

Kubiak wieczorem opowiadał mi, że widział również okręt wojenny, ja go jednak nie dostrzegłem. Jest to zresztą zupełnie prawdopodobne, albowiem z portu wojennego w Cushima wyruszyło sześć statków wojennych, by nieść nam pomoc w wypadku katastrofy.

Po chwili znowu zanurzyliśmy się w chmury.

Od czasu do czasu jedynie aparat wynurzał się z chmur i wtedy widziałem tuż pod sobą kołujące spienione fale. A co, gdyby tak motor stanął?

Wreszcie ujrzałem przed sobą światło, — chmury kończyły się. Długi jeszcze czas nurzałem się w podartych resztkach chmur, — po pewnym czasie pole wi-

denia znacznie się powiększyło. Rozpocząłem więc namyślać się nad tem, gdzie się znajduję. Podczas parogodzinnego lotu w chmurach, wśród wirów i wiatru, mogłem być zniesiony bardzo daleko z pierwotnego kierunku.

W pewnej chwili dostrzegłem z lewej strony ład odległy o jakieś 30—40 kilometrów.

— Cuszima, — pomyślałem sobie i obróciłem aparat w przeciwnym kierunku. Lot nad Cuszimą przecież był zakazany, a zresztą mając kierunek, z łatwością mogłem dostać się do Korei.

Poleciałem prosto na północ w nadziei, że niebawem ujrzę ład koreański. Ład, który musiałem mieć już po lewej stronie, wciąż nie ukazywał się. Postanowiłem, że jest to wina silnego wiatru bocznego, który mnie wznosił na otwarte morze.

Przypuszczenia moje okazały się jednak mylne. W odległości 20, być może 30 kilometrów, przed sobą dostrzegłem ład. Gdy doleciałem bliżej, zdumiałem się. Nie był to ład koreański, lecz pusta, skalista wysepka. Sięgnąłem czempredziej po mapę, lecz jakie było moje zdumienie, gdy na mapie nie znalazłem tej wyspy.

Mapa się skończyła...

Nie każdy potrafi zrozumieć sytuację pilota, który się okaże w otwartym morzu, z bardzo ograniczonym zapasem benzyny, nie wiedząc w dodatku, gdzie się znajduje i w jakim kierunku powinien szukać ładu.

Trudno mi określić mój stan psychiczny, w jakim

się znajdowałem wówczas, mając pod sobą spienione fale, przed sobą beznajdziejnie pusty widnokrąg, a w zbiornikach przerażająco nikłą ilość benzyny. Z tych smutnych rozmyślań wytrąciło mnie uderzenie steru, — Kubiak dał znak życia.

Widząc, z jakim zaniepokojeniem wychylałem się na wszystkie strony, sięgałem po mapę, zrozumiał, że straciłem orientację. Dobył więc małą mapkę, wydatą widocznie z jakiegoś atlasu geograficznego i usiłował według niej ustalić miejsce naszego pobytu. W normalnych warunkach taka mapka nie mogła być traktowana poważnie, w danym jednak wypadku uratowała nam życie.

Otóż na tej mapce Kubiak znalazł małą, czarną kropkę, na którą zapewne nikt studujący geografję nie zwrócił nigdy uwagi. Przecież mogło to być omyłkowe dotknięcie piórkiem rysownika pracującego nad mapą.

A jednak ta właśnie kropka była skalistą wysepką, którą napotkaliśmy na drodze.

Gdy wziąłem z wyciągniętej dłoni Kubiaka, ten mały skrawek papieru, zrozumiałem, co nas oczekiwało, gdybyśmy lecieli dalej w tym samym kierunku. W prostej linii musielibyśmy lecieć do ładu jakieś 700 kilometrów, zaś zapas benzyny starczyłby na jakieś 300 kilometrów...

Powróciłem więc prosto pod wiatr i po niespełna godzinie lotu, spostrzegłem przed sobą siny pasek. Był to tym razem prawdziwy ład.

d. n.)